Ner 50. Kraków, 16go Grudnia. 1862.

ROK III.

# NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca. Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie. Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

## O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zobacz r. 1861 Nr. 1, 2, 4, 7, 15, 21, 22 i 42; rok 1862 Nr 4, 13, 17, 24, 26, 28 i 48).

Nauka tańca wielce jest potrzebną, a to więcej podobno dziewczynkom, aniżeli chłopcom. Nie ażeby panienka koniecznie tańczyć umiała *la cochoncha, la madrilena* i t. p. — ale dla nabrania figury, zręcznych ruchów, ażeby chodzić umiała: nie kręciła i szastała się, nie stąpała ciężko, nóżki stawiała zgrabnie i nie powłóczyła niemi; trzymała się prosto bez wymuszenia, i rąk nie opuszczała, jak gdyby jej zawadzały, jak gdyby nie wiedziała co z niemi ma począć.—Jeden ze znakomitych malarzy-artystów wyrzekł: że gdy kobieta idzie, zdawać się powinno, że się posuwa jak statua— że płynie, a suknia niepowinna poruszać się wcale. Słyszeliśmy także już nieraz: że kobiety chodzić nie umieją. To też niechaj tańcząc uczą się chodzić, a umiejąc chodzić, będą i tańczyć umiały. Przeto nauka tańca niechaj już maleńkim dziewczątkom udzieloną zostanie. Wszakże utrzymują, że takowa i dla zdrowia wielce jest przydatną.

Taniec nadzwyczaj wiele powabu młodej osobie dodaje, jeżeli może być nazwany *harmonią ruchów* — bez podskakiwań, zadzierania głową i szamotania się, co niby ma oznaczać, że się *tańczy z duszą*. Panienka raczej płynąć powinna, bez szelestu lekką nóżką dotykając posadzki — swobodnie, wesoło, z wdziękiem, polotnemi zachęcona tonami, ale bez szału, bez *pretensyi*. Powtarzano mi, że kawaler jeden, poznawszy pannę na balu, napisał o niej do rodziny swojej: „Zakochałem się szalenie. Panna jest brzydka jak strach, ale tańczy jak anioł!“ I ożenił się. W lat kilkanaście poznałam tę panią: była brzydką rzeczywiście, ale pełną gracyi i ujmującej uprzejmości. Widziałam ją tańczącą *polskiego* i kontredansa, a płynęła spokojnie, lekko, bez wymuszenia. Winnam dodać wszelako, że zarazem była pełną wyższych zalet i rozsądku — i każdy zapominał o jej brzydkiej twarzy.

Nie należy się wszelako zbyt wielkiej rzeczy z nauki tańca robić, bo wtedy troskliwość podobna staje się śmiesznością, i słusznie wcale. A uchowaj Boże, by dziewczynka rozmiłowała się w skokach, a później za balami przepadała. Zamiłowanie tańca jest bardzo *właściwą własnością* młodzieży, ale niech nie wygóruje w namiętność. To też one baliki dziecinne mogą mieć niejedno za sobą, lecz niechby się na jednym każdej zimy skończyło, ażeby młodziutkie fantazye zbyt wiele nie zachwyciły żywiołu do niepotrzebnego rozmarzenia. Chłopczyk z ufryzowaną głową, wkładając do kontredansa rękawiczki białe, przejmie się łacno rolą dorosłego kawalera... i nazajutrz w klasie zaśni o jakiej tancerce w białej, różowej, lub niebieskiej sukience, a zapomni o matematyce i łacinie. Dziewczynce podobnież w młodej zaroi się główce, będzie poziewała nad gramatyką, i przez dni kilka nie przestanie rowienniczkom opowiadać o swoich *balowych sukcesach*. Przeminie to wprawdzie, jak sen; ale, jeżeli się takie wieczorki powtórzą często, to i wielce obałamucić potrafią.

## JOANNA ARK,

czyli

## DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Któżby wyliczył wszystkie bohatyrskie czyny, nieporównane w dziejach świata z żadnemi innemi, a które spełniła na skinienie Boże wiejska prosta dziewica? Wspomnimy jednakże o szturmie koło Jargeau; książę alençoński miał polecenie zdobyć to miejsce; on też później przed sądem wyznał co następuje: „Gdym nie miał odwagi przystąpić do szturmu na żądanie dziewicy, rzekła mi: boisz się książę? azali nie wiesz, żem przyrzekła twojej małżonce, iż cię zdrowego jej powrócę. Niezwłócz książę, i wiedz o tem, że bez woli Bożej nikomu ostatnia godzina nie wybije.“ Słowa nadzwyczajnej dziewczyny pomogły. Przystąpiono do szturmu. Z obu stron walczono zawzięcie, gorąco. Działami sama dziewica kierowała z wielkim skutkiem. Gdzie jej potrzeba było, nigdzie jej nie brakło. Niechaj tylko spostrzegła w którem miejscu, że Francuzi kroku dostać niemogą, już tam była, z rąk chorążego porywała sztandar, i... dzierżąc go, sama rozogniała wszystkich. Nagle poleciła księciu Alençon, aby opuścił miejsce, na którem stał, bo działo, które wskazała, życia go pozbawi. Książę doścignął zadość uczynić jej zleceniu, i w tej samej chwili poległ pewien szlachcic od kuli armatniej. Walka coraz bardziej wrzała. Joanna, nieustraszając się niczego, wdarła się na drabinę, dostała się na drugą stronę przekopu, dzierżąc chorągiew w ręku i wołając:

— Wszyscy za mną!

Anglicy, w zawzięciu na nią, poczęstowali ją gradem strzał, strącili na nią ogromny kamień. Kamień upadł na jej hełm i sprawił, że upadła. Lecz w tej samej chwili zerwała się i zawołała na wojowników: „Przyja-

ciele! żwawo do góry, pan Bóg potępił Anglików, wnet nam ulęgną, tylko odwagę miejcie." Francuski wojownik był pełen otuchy, więc po nie wielu godzinach miasto było w jego ręku. Angielski książę Suffolk oddał się w jeństwo paziowi, Wilhelmowi Regnault z Owernii, którego naprzód pasował rycerzem. Sława Joanny rozszerzyła się lotem błyskawicy po wszystkich dziedzinach Francyi. Już nie było nikogo, ktoby jej niepoczytywał za nadzwyczajną bohaterkę i prorokinię Bożą.

Wielu wojowników i rycerzy poskładało broń i herbowe tarcze, a zaopatrzyli się w podobne sztandary temu, który miała wsławiona dziewica. Wizerunek jej lud poumieszczał po kościołach, i wielu nosiło medale z jej popiersiem na szyjach.

Rycerz Guy de Saval wowym czasie (6 Stycz. 1329) pisał do swojej matki, że w dziewicy tej jest koniecznie coś boskiego. Pisał do matki, że widział ją w zupełnej połyskującej zbroi dosiadającą rumaka; była bez hełmu i miała w ręce nie wielki topor. Pisał, że wyprowadzono dużego karego rumaka, pełnego ognia i nieposkromionego, nie dawał też wsiąść na siebie. Wtedyldziewica rzekła: „zaprowadźcie go pod krzyż koło kościoła"—co gdy uczyniono, uspokoił się natychmiast, i dziewica bardzo zwinnie go dosiadła.

Po zdobyciu Jargeau połączyły się angielskie załogi z różnych miejsc, dla zastąpienia linii, którą się francuskie wojsko posuwało. Zdawało się, że bitwy uniknąć niepodobna, o której pomyślnym skutku wodzowie francuscy powątpiewali, dla nieprzyjacielskich sił przemagających. Joanna upewniała o zwycięztwie i radziła postarać się o wiele dobrych koni, które będą potrzebne dla skutecznej pogoni za nieprzyjacielem. Wyparto Anglików aż do Patuy, gdzie Francuzi przez noc odpoczywali, nabrawszy niemało jeńca i dostawszy w ręce Talbota, osławionego angielskiego wodza. Książę Betford, który niedawno żądał przybycia młodego króla z Anglii do Paryża dla koronacyi, musiał usilnie prosić o nową pomoc. W pewnym jego liście, który się w Towrze znajduje, czytamy: „po oswobodzeniu Orleanu padł wielki strach na wszystko nasze oblężnicze wojsko. Pochodzi on z bojaźni przed uczenicą szatana, która się zwie dziewicą a czarnoksięstwem zwycięża."

Francuzi odnosili korzyść jednę za drugą. Rządzący w Paryżu Anglicy potrwożyli się niesłychanie. Książę Betfort wydawał proklamacyę po proklamacyi dla podburzenia umysłów przeciw Karolowi.

Ciągnąc ku Rheims coraz dalej, zajęli Francuzi naprzód Auxerre, miasto, z którem się przez wzgląd na księcia burgundzkiego dość łaskawie obeszli. Niedostatek żywności i nie liczne wojsko znowu spowodowały wodzów do zatrzymania się, ba, chcieli nawet uczynić odwrót do *Gien*. Gdy rada wojenna już się do tego skłaniała, weszła nagle dziewica do sali obradowej i rzekła do króla: miłościwy delfinie, rozkaż twoim ludziom, aby się zabrali do oblężenia miasta Troyes, niechaj zaś dłużej nie radzą, bo na Boga mojego! po trzech dniach wprowadzę cię do miasta, czy to za użyciem siły, czy bez tego, a przeniewiercza Burgundya zadziwi się nie pomału. Zaledwie też przygotowali się do szturmu, a mieszkańcy już się poddali królowi.

Pewna stara kronika donosi, że—gdy dziewica dnia 8go lipca 1429 r. o świcie, wznosząc w górę swój sztandar przy odgłosie trąb, do szturmu wzywała—widziano jak mnóstwo białych motylów około niej latało. Dnia 10go lipca 1429 odprawiła wjazd swój dziewica obok króla do miasta. Wyszedł naprzeciwko niej mnich *Richard*, który do pokuty wzywał, dla przekonania się o boskiem jej posłannictwie. Kropił on przed siebie święconą wodą i żegnał się, a dziewica zawołała do niego: „tylko śmiało przystępujcie, ja wam nie odlecę ptakiem.„

Jeszcze przed przybyciem do Chalons, zjawili się mieszkańcy jego z biskupem na czele, dla ukazania królowi swojej uległości. Tymczasem księcia Alençon uczyniono wielkim hetmanem, z tem jednakże poleceniem, ażeby bez porady i woli dziewicy nic nie działał. Król jednak, mimo tak świetnych i ustawicznych korzyści, nie mógł się pozbyć troski i obawy zbliżając się do Rheims. Dziewica pocieszała go: „nie troskaj się miłościwy panie, bo mieszkańcy przyjdą do ciebie nim się do miasta zbliżysz. Pozbądź się wszelkiego niepokoju, bo działając odważnie, jak przystoi na męża, odzyskasz całe twoje królestwo." Król podstąpił aż pod zamek St. Sault o milę od Rheims i tam stanął obozem. W tym mieście potrwożyli się Anglicy i Burgundczycy, i żądali od mieszczaństwa, aby się jakiś czas broniło, nim nadejdzie pomoc. Ale obywatele nie słuchali tego, zaczem załoga ustąpiła z miasta bez dobycia miecza. Wysłańcy miasta przybyli z uniżonością i kluczami.

Przed południem tego samego dnia, w którym miasto oświadczyło się z poddaniem, wjechał do niego po pierwszy raz Rheinalt de Chartres, arcybiskup rheimski i dumny kanclerz królestwa, on, który dał tyle dowodów niechęci naszej dziewicy. Wieczorem uczynił też wjazd do miasta koronacyjnego król wśród okrzyków radości ludu. Obok niego jechała w pokorze, ale pełna wyrazu szlachetności, Joanna na białym rumaku, i trudno było oznaczyć czy lud radośniej ją, czy króla witał?

Biegły malarz pospieszył zdjąć szczery obraz wiekopomnego wjazdu, którego kopia aż do rewolucyi zdobiła ściany olbrzymiej katedry miasta koronacyjnego.

Odbyła się koronacya zaraz nazajutrz po poczynionych do niej z największym pospiechem przygotowaniach. Największą jej ozdobą byli pierwsi panowie państwa, którzy natychmiast się pokwapili z poddaniem się zwycięzkiemu królowi; między nimi byli książęta Barru i Lotaryngii. Bogata korona, którę król z sobą umyślnie woził, pozostała jeszcze z jukami, więc użyto tej, która była w skarbcu katedralnym. Marszałek z Rayz, St. Severe, i Gravel, także admirał Culane przynieśli z opactwa St. Remy w uroczystej procesyi flaszkę z święconym olejem, od dawna tam przechowywaną. Krocząc wśród nich sam opat trzymał ten klejnot w ręku, i pokazywał go po kilkakroć zgromadzonej rzeszy. Naprzeciw niego wyszedł arcybiskup w całej okazałości, odebrał klejnot z rąk jego i postawił go na ołtarzu katedry pod wezwaniem N. Panny. Tutaj już zgromadzili się byli królewicze i rycerstwo. Najbliżej ołtarza stała Joanna, dzierżąc sztandar w prawicy; nieopodal od niej stali mnich Richard i wierny jej spowiednik. Przed głównym ołtarzem wzywał herold dawnych parów Francyi po imieniu, jako to: książąt burgundzkich, akwitańskich, normandzkich, także hrabiów flandryjskich, toluskich i szampańskich. Lecz ci, jako obecni w nieprzyjacielskim obozie, nie jawili się, więc wzywano ich zastępców.

Potem wszedł król w uroczystym pochodzie, uprzedzony urzędnikami dworu i państwa, do katedry, i zgiął kolana przed ołtarzem. Arcybiskap odczytał wedle dawnego zwyczaju wezwanie, żądające po królu obrony kanonicznych przywilejów i wszystkich prałatów wraz z kościołem, wedle jego zmożenia; także ażeby cały naród utrzymał w uległości dla kościoła, aby z granic państwa swego wszystkich przez kościół wskazanych mu kacerzy wydalił, i wedle rady duchowieństwa pokój chował. Nastąpiło namaszczenie królewskie przez arcybiskupa. Dziewica, obróciwszy się do króla i objąwszy jego kolana, rzekła obficie łzami się zalewając:

„otóż miłościwy królu! spełniona jest radość pana Boga, wedle którego najświętszej woli oswobodziłam Orlean, i wprowadziłam cię do poważnego miasta Rheims dla św. namaszczenia, na znak, iże wasza miłość jesteś prawdziwym królem, do którego Francya należy. Posłannictwo moje jest więc spełnionem, i błagam cię miłościwy panie! pozwól mi powrócić do domu." W całem zgromadzeniu niebyło suchego oka. Król odpowiedział jej wymijająco. Pasowany sam rycerzem od księcia alençońskiego, pasował też rycerzami kilku młodej szlachty.

Wielką pociechą napełniło się serce dziewicy, gdy jej ojciec Jakób Darc i wuj Durand Laxard przybyli do miasta, które ich swoim kosztem podejmowało.

Dziewica ciągle posłannictwo swoje miała za spełnione, tęskniła ustawicznie do rodzinnej doliny; ale król niechciał jej puścić. Są jednakże świadectwa, że Joanna za jedno z zadań swego posłannictwa miała uwolnienie księcia Orleanu z niewoli. *(C. d. n.)*

---

## CZEMU?

(Do Olgi ***).

Czemu, czemu szczęścia kwiecie
Co tak wonnie kwitnie w łonie,
Burza życia szybko zmiecie?
Czemu w pośród losów wiru
Nadziej świętych wieniec tonie,
Grom przerywa ciszę miru?!...
Czemu każde snu marzenie,
I sen każdy, każde czucie,
Każde serca tęschne tchnienie
Marnie ginie wśród zawodu,
Lub, w kapryśnym losów rzucie,
Strzaska się o zimno lodu?...
Czemuś dziewczę mnie zwabiło,
Czemu cudnym wdziękiem szału,
Czarem słodkim uwięziło?
Czemuś miłość ślubowało...
Czyż dla tego, byś — pomału
Rozkochawszy — niekochało?...
Czemu każde twoje słowo —
Co tak serce rozmarzało,
Że nić czaru tkać na nowo
Senna dusza wciąż musiała —
Ach! pamiątką pozostało?
A przysięga, ot przebrzmiała?...
Czemuś złotych marzeń światy
Wywołało w biednem łonie;
Powszczepiało cudne kwiaty,
Co z nich każdy rubinami
Szału, czaru, wdzięku płonie,
Tęczowemi lśni barwami?...
Czemuś potem własną dłonią,
Z kwiatów serce obnażyło,
Wraz z ich barwą i ich wonią;
A ich biedne, smutne głowy,
Ciężkie tęskno pochyliło,
I nieurósł kwiatek nowy?!...
Czemuś serce, co tętniło
Tak miłością, jasną dolą,
W śpiewną lutnię przemieniło,
Nawiązało dźwięczne struny? —
Miałoż śpiewać pieśń Eolów,
Czyli zabrzmieć pieśnią truny?...

W *samotny wtorek*, listopad 1862.

*Wacław Sz...*

---

# Druchna.

### Obrazek z roku 1846.

(Ciąg dalszy).

Wieś Brzeziny była od wieków własnością rodziny Jaglińskich, którzy się nawet pisali na Brzezinach. Ztąd pochodziło, że się tam najdłużej zachował ten stosunek patryarchalny między dworem a chatą, który mimo wszystkich twierdzeń naszych nieprzyjaciół był stosunkiem w naszej ojczyznie naturalnym, z charakteru narodowego wypływającym, prawem i obyczajem uświęconym. Były zapewne nadużycia, i wielkie nadużycia ludzi pojedyńczych, zaślepionych czy władzą, dumą, czy namiętnościami innemi. I dodać należy, że te nadużycia najczęściej pochodziły nie od samych panów, nie od dziedziców; ale od ich zastępców, rozmaitej drużyny, z wszelkiego nieraz tałatajstwa zebranej, od ich komisarzy i tak zwanych gubernatorów, którzy dali chłopa w imieniu pana, ale pewnie na własną korzyść, nie zaś dla pana. Tego wszakże nie można dosyć często powtórzyć, że to co u nas było wyjątkiem, to było u postronnych wyżej niby od nas cywilizacyą stojących narodów powszechnym zwyczajem a nawet prawem. U nas tej własności ciała ni w rzeczy ni w mowie nie było, jaką była germańska Leibeigenszaft — a czego się dopuszczali codziennie niemieckie Ritery i francuskie Gentilhomy, którzy wracając z polowania, pruć kazali brzuchy chłopskie, by przemrożone nogi w drgających jeszcze rozegrzać jelitach: tego darmo by szukać we wszystkich kronikach naszych przez swoich i przez cudzych pisanych.

Owóż co do tego stosunku *po bożemu* sławne były na całą okolicę Brzeziny, i sławną rodzina poczciwa Jaglińskich, która choć się nigdy do pierwszych domów magnackich nie podniosła, ale niejedno senatorskie krzesło zasiadała, a co więcej krwi i mienia nie szczędziła dla ojczyzny. I jakże się nie miał świętym zachować ten stosunek przez długie wieki, kiedy w domowej kroniczce rodzinnej, którą jeden z przodków pana Michała w wolnych zaczął spisywać chwilach, a którą późniejsi kończyli, zapisane były nazwiska kilku kmieci brzezinieckich, którzy poszli na wojnę z swemi panami, a nawet nieraz spoczęli pod owemi mogiłami, które w kraju naszym jako słupy historyczne naznaczyły szlaki tatarskie. Trzy razy nawet w tem szlacheckiem Sylva-rerum — boć tam i inne drobnostki domowe, wraz z mnogiemi sentencyami spisywane bywały—zdybać się można było z jednem i tem samem nazwiskiem kmiecem. Zalesny jeden Piotrzyk zginął za Jana Kazimierza w wojnach szwedzkich, na które jako ciura wyszedł z swoim paniczem Marcinem Jaglińskim, który także już więcej do domu nie wrócił. Drugi Zaleśny Andrzek kmieć brzeziniecki z przysiołku Zalesie — jak stoi napisano w domowej kroniczce — poszedł z panem Ignacym, u którego dworsko sługiwał, na wyprawę wiedeńską, i obaj wrócili, ale Andrzek tak pokiereszowany, że go rodzona matka nie poznała, bo też pod Parkanami pana Ignacego już otoczonego przez pogańskie syny samotrzeć z dwoma usarzami dzielnie wyrąbał.

Trzeci nareszcie Zaleśny Jan, kiedy to wielki naczelnik lud powołał do walki, zasadził kosę na sztorc, i wyprawił się wraz z panem Ignacym Jaglińskim, który był ojcem pana Michała, a zatem dziadem naszej Zosi, pięknej panny młodej. I obaj jakoś szczęśliwie do rodzinnej wrócili wioski, chociaż nie bez licz-

nych szramów, a nawet Jan Zaleśny stracił jedno oko, co mu wybiła pika kozacka; nie przeszkadzało mu to wszakże, by po powrocie dalej koło roli rodzinnej pracować, i chodzić za pługiem, jak to czynili jego ojcowie.

Ztąd oczywiście pochodzić musiało, że we wsi Brzezinach, rodzina Zaleśnych miała wielkie znaczenie, i nie raz i nie dziesięć piastowała wszelkie gminne urzęda. Do starego Jana Zaleśnego, którego ludzie przezwali kosarzem, czy dla tej kosy co nią na zielonej łące tak dzielnie wywijał jak żaden inny, czy dla tej drugiej kosy co pod R..............niemałe waliła na ziemię pokosy, Bóg to raczy wiedzieć — cała gmina chodziła po radę, ba nawet i pan Ignacy z synem zachodził zawsze, by się opłatkiem i jajem święconem ze starym podzielić kolegą. To też choć już wówczas wiele i bardzo wiele się zmieniło w dawnych stosunkach polskich dworów i chat polskich—boć szatan nieufności wzajemnej zaczął się uwijać po naszym kraju, i dyabelskiemi praktykami siał kąkol nienawiści a zbierał iskry wzajemnych namiętności, by z nich rozdmuchać płomień wiecznej domowej niezgody — póki żył stary kosarz, to był i spokój w Brzezinach. Siwy kosarz, choć nieuczony, ale mądrzej od księgi prawił, gdy nieraz mówił do gromady:

— Dyć to zawsze lepsze co swoje jak cudze, choćby je jak przechwalano. Dwór pański, to nasz, jak nasza ziemia!... Jak nam dwór wydrą z serca, to i ziemię wyrzucą z pod nóg!...

Odzywały się tam rozmaite w gromadzie mruczenia na tę nieszczęśliwą dominię!... Oj przeklęta ta dominia!... Ale rozsądniejsi i starsi kończyli zawsze temi słowy:

— Słuchajcie starego kosarza!

Po kosarzu został się syn jedynak, tęgi chłopak, co go ludzie zwali Tomkiem ognistym, bo też to był zuch nielada, a jak przyszedł do karczmy to już pewnie wszystkie dziewki czerwonym a płomienistym paliły się ogniem. I pan Ignacy, który zmarł wcześnie w skutek ran ma.........kich, zostawił syna jednego, pana Michała, którego już przedstawiliśmy czytelniczkom naszym. Pan Michał był poczciwego serca, ale jak mówiliśmy impetyk nieco, a wychowany przez matkę, której ojciec z polskiego szlachcica wykierował się także na galicyjskiego grafa, miał ci już niektóre fumy, i już się więcej z galicyjskiego stanowiska zapatrywał na dawne polskie spółeczne stosunki. To też już między dworem a chatami zaczęły stawać rozmaite zapory, bo już drogę do dworu, co wprost prowadziła przełazem od wygonu gromadzkiego, zawaliła mandatarya, i areszt!... Dawniej to się jakoś bez tego obchodziło, i jak n. p. była nieszczęśliwa rekrutacya, to jakoś dziedzic wszelkiemi siłami starał się poczciwym ludziskom pomagać; ale później umył sobie ręce od tego, poruczając to mandataryi, która znowu nieposłusznych pakowała do aresztu. Była w tem zapewne i dworów wina, ale że nie od nich głównie wyszła, to Bóg widzi i sądzi; lecz czyż tak widzieć i sądzić mógł lud ciemny!...

Mimo to, szło to jakoś, czyli raczej lazło jak mogło. Stosunek przyjaźniejszy trwał jeszcze, mianowicie między dworem a chatą ognistego Tomka, który się tymczasem ożenił i dwóch miał synów, a jedną córkę Marynię, którą najczulszem pokochał uczuciem, bo mu przy niej poczciwa a kochana umarła żona, i rosło mu też dziewczę, gdyby kalina nad strumykiem, smukłe, śliczne o jasnych włosach i rumianych policzkach. I pan Michał ożenił się równocześnie prawie, i miał syna ślicznego czarnookiego Kazia, którego przyjście na świat życiem także przypłaciła matka. Ledwie tyle miała czasu, że okiem gasnącem popatrzyła na chłopca ślicznego jakby malowanie jakie, pół zimne już usta przycisnęła do białego czółka, i drżącemi palcami pobłogosławiła, Bożej oddając go opiece; a do męża skłoniona niewyraźnemi już słowy coś mówiła, w czem ledwie mógł wyrozumieć słowo „Tomkowa" kilkakroć wymówione. Tomkowa bowiem żyła jeszcze wtenczas i drugiego karmiła chłopca, a nieboszczka Jaglińska miała wielką miłość dla rodziny Tomkowej, mówiąc nieraz do męża.

— To poczciwi ludzie!.... Trzymaj z nimi, bo oni jedni wiążą dwór ze wsią!... Pamiętaj Michasiu!... bo jak z nimi zerwiesz, zerwiesz na zawsze z wsią!... A to przecie stara wieś, starych przodków twoich!...

Mądra to była znać kobieta, choć to było młodziutkie jeszcze niebożątko; i rzekła słowo jakby wieszcze, które Bóg często kładzie w serce i usta tym, których porachowane są dni życia.

Michał, strapiony i zrozpaczony, w pierwszej chwili przypomniawszy sobie słowa ostatnie żony, już chciał biedz do chaty Tomkowej, i już był przy wrotach, gdy tuż przy nich zdybał się z Tomkiem i Tomkową, która trzymała przy piersiach pucułowatego chłopaka w białą płachtę utulonego. Spłakali się wszystko troje; tylko mały Jonek wrzeszczał w niebogłosy.

— Biedny panie! daj mi twoją sierotkę; ja mam pełne piersi. Bóg tak już sam zrządził. Wystarczy dla obu!

I oboje Tomkowie ukłonili się strapionemu do kolan, jakby go o jakie dobrodziejstwo prosili.

Weszli do dworu poczciwi ludziska; a gdy wyszli, to pod białą płachtą Tomkowej dwoje już było niemowląt, a pucołowaty Jonek ssąc pełną pierś matczyną, zadziwione wybałuszył oczy na bielutką sierotkę, co się tak serdecznie przytuliła do drugiej piersi, jakby to była pierś matczyna. A górą po nad dwór i wieś biała przeleciała gołębica, zwiastunka może matczynego błogosławieństwa, co tam z nieba spływało od stóp Bożych.

Kazio się wykarmił zdrów i czerstwy, a choć już mieszkał we dworze, otoczon pieszczotnem staraniem jakiejś ciotki starej, i nieodstępnego chłopaka do służby malca dodanego, był równie częstym chaty Tomkowej jak i dworu ojcowskiego gościem. A gdy tam przybiegł, to i Tomkowych chłopców uściskał jak braci, choć się zaraz z nimi poczubił, i małą Marynię, sierotkę, brał na ręce, i całował serdecznie, bo zmarłą Tomkowę chował wiernie w dziecięcem sercu swojem. I nawet też kazał się zaprowadzić albo zanieść na cmentarzyk wiejski, i jeżeli przy kamiennym matki krzyżu wypaplał nauczony przez ciocię paciorek, to przy drewnianym Tomkowej krzyżu zbeczał się i dwa wyjąkał paciorki pobożne.

Nadszedł rok 18... Pan Michał ledwie pocieszony po stracie żony, wybrał się rad i szczęśliwy na wojaczkę, która mu bardzo przystawała i do serca polskiego i do impetycznego a rezolutnego usposobiania. Długo rozmyślał jak ma dzieckiem i mieniem zarządzić, boć to na wojnie nie przelewki, i nikt nie wie jaki los spotkać może, bo wojna a kobieta to bardzo zawodne!... wieniec cierniowy równie łatwy jak wieniec wawrzynowy. I gdy tak chodził po szerokiej sypialni, stanął przed portretem nieboszczki żony. Snać tak Bóg chciał, bo Boża łaska była przy poczciwych chęciach wyprawiającego się ochotnika. Bóg jest zawsze przy dobrej sprawie, i każda poszłaby najlepiej, gdyby ludzie nie psuli. Spojrzał na oblicze żony, i zdało mu się w tej chwili, że widzi portretu takie same spojrzenie, jakiem go konająca żegnała. Przeżegnał się, zmówił krótki pacierz, i uspokojony spać się położył. Nazajutrz zwołał gromadę, i trzymając małego chłopca za rękę, tak rzekł do niej:

— Ja wyjeżdżam na długo!.... może i nie wrócę. Wam pod opiekę oddaję mego syna, i moje całe mie-

nie. A zarazem upraszam Tomka Zaleśnego, aby w waszem imieniu przyjął główny zarząd majątku, i bliższe nad dworem i dzieckiem orędownictwo. Nie odmówicie mi tego?...

Tomko się rozpłakał, i wielu płakało; ale Tomko, gdy się oglądnął, kiwnął ręką i splunął pogardliwie, bo między zgromadzenemi ujrzał wiele, bardzo wiele suchych oczu, o fałszywem zyzowatem spojrzeniu.

Tomko był wiernym a poczciwym opiekunem pańskiego dziecka i dobytku. Pan Michał wróciwszy dziękował mu serdecznie. Kazio podrósł nie mało przez ten czas, wyglądał jak samo zdrowie, i uganiał po wszystkich polach, rowach i łąkach, zawsze na przedzie z Marynią, a chłopcy Tomkowe za nim.

— My niechcemy iść za tobą! mówili nieraz krnąbrne chłopaki Tomkowe. — Choć ty panicz, ale my starsi i mocniejsi.

— Głupiś i ty Wawrzku i ty Jonku! — odpowiadał dumnie panicz. — My przecież będziemy bić nieprzyjacieli kiedyś, a na to trzeba dowódzcy i żołnierzy. Ja będę dowódzcą, a wy będziecie żołnierzami...

— A ja czem będę! — pytała ciekawa Marynia.

— Ty?... ty będziesz adjutantem moim.

— Ja niechcę być jakimś tamtem! — mówiła dziewczyna, dąsając się.

— No!... — odpowiedział Kazio po chwili zastanowienia — to będziesz moją żoną!...

— To co innego! — mówili na to chłopcy Tomkowe.

A Marynia dała za to Kaziowi serdecznego całusa. I biegły dzieci dalej, przełażąc płoty, drapiąc się na drzewa, przewracając się po stogach siana!... Szczęśliwe dzieci!... bo dzieci!... i póki dzieci!... Bawcie się i marzcie póki możecie!... bo przychroma wnet rzeczywistość, i połamie wam zabawki, a bańki marzeń rozdusi nielitośnie.

Czas bieży niewstrzymany w dobrej czy złej chwili dziecku jak starcowi; jeno, że dla dziecka ma skrzydła motyle, któremi je nosi od kwiatka do kwiatka, a dla starca ma łapy żółwie, któremi lezie nudnie i pomału, a przecież niewstrzymanie do coraz ciemniej i żałobniej z głębi wystającej mety. Pan Michał się ożenił po raz drugi, a dzieci rosły szczęśliwie. Pana Michała żona pochodziła z najczystszych karmazynów, i choć miała serce polskie i poczciwe, co się i dzisiejszym trafia karmazynom, była dumną i dosyć nieprzystępną. O czystości krwi miała swoje własne wyobrażenia; to też niechętnie patrzała na poufałość dworu z chatą Tomkową. Pomału też doprowadziła męża, który ją ślepo pokochał, że się stawał zimniejszym dla Tomka i jego rodziny, a nawet już się parę razy trafiło, że gdy Tomko przyszedł do dwora dawnym obyczajem, i z uśmiechem poczciwym, a z panem Jezusem na ustach wszedł do pańskiej izby, pan Michał go ofuknął pod pozorem, że niema czasu. Z początku Tomkowi kręciły się łzy w oczach przy takiej odprawie, ale razu jednego nadstawiony przez panią ugalonowany lokaj oburknął go, pomruknąwszy coś o chłopie i chamie; Tomko już niemiał łez w oczach; ale że nie darmo go ognistym zwano, więc tylko czołem zmarszczył okropnie, wargi mu zadrżały, i odszedł nie rzekłszy ani słowa — ale już też więcej nie wrócił nigdy do dwora. I Kazio dostał zakaz, by do Tomkowej nie chodził chaty, a nawet razu jednego macocha zagroziła mu rózgami, i guwernerowi srodze nakazała, aby dobrze chłopca pilnował. Kazio miał charakter nieugięty, i od dziecka był przyzwyczajony do samowoli zupełnej. Więc się tylko zakręcił na pięcie, i widząc się pilnowanym, wyskoczył przez okno, i cwałem poleciał ku wsi. A że biedz trzeba było niedaleko od cmentarza, więc wbiegł chłopak nań i obu poskarżył się matkom. Rozczulony, gdy wpadł do chaty Tomkowej, zbeczał się naprzód, a potem wyściskał z mlecznem rodzeństwem. Tomko, na dwór rozżalony, miał wielką ochotę pokazać drzwi paniczowi; ale gdy spojrzał na Marynię rozpłakaną, a śliczną zawsze, uciekł z chaty by złej nie uledz pokusie, bo Marynia była mu więcej jak okiem w głowie.

Pani Michałowa urodziła tymczasem córkę, i otoczywszy ją starannością nietylko matczyną, ale i tą starannością arystokratyczną, która pańskie dzieci jakby jakie rośliny tropikowe dusi w nienaturalnej pieszczot i wygódek cieplarni, mniej dbała o naszego Kazia, rada nawet usuwać go z przed oczu mężowskich. Guwerner, który się bawił w zbieracza owadów, za któremi łaził dniami i nocami, nie wiele też pilnował wychowańca swego, jak koń tabunny wolno i swobodnie uwijającego się po polach i zawsze z Marynią. Tomek kiwał nieraz głową; ale że to dzieci jeszcze, więc milczał do czasu.

W stosunkach bliższych Kazia z chatą Tomkową zachodziły przerwy szkolnych lat; ale za to miesiące wakacyjne przebywał całe prawie w domu Zaleśnego, opowiadając Maryni wszystkie cuda miejskie, które miał szczęście oglądać. Marynia, założywszy ręce na jego kolanach, patrzała w niego jak w tęczę, jak w wyższą istotę, a słuchała go nietylko uchem, ale i sercem.

— Paniczu!.... jaki wy macie rozum! — mówiła prosta wiejska dziewczyna.

— Nie mów mi paniczu!...

Marynia na to wpadała w zamyślenie, westchnęła z cicha, i nic nie odpowiedziała. Dla czego wzdychała?... Bóg chyba wiedział!... Ona biedna wiejska dziewczyna nie wiedziała tego, ale to westchnienie tak samo z piersi ulatywało.

Tymczasem Kazio, burzliwy i prędki, wmieszał się do jakiejś sprawy studenckiej, w skutek której już go ojciec niepuścił więcej do szkół. Wtenczas był on zupełnym panem swej woli, bo macocha, wątłe z natury stworzenie, w skutek zaziębienia, balem jakimś sprowadzonego, umarła zostawiwszy małą tylko Zosię. Pan Michał z powodu tej śmierci mocno stetryczał, do czego przykładała się i rana w głowie, którą przyniósł z wyprawy r. 1841. Kazio mając wówczas lat siedemnaście, był zupełnym panem swojej woli, i nabrawszy namiętnego w myślistwie zamiłowania biegał po polowaniach. W domu siadywał jak najmniej, bo choć kochał małą Zosię serdecznie, nudził się w małej, wątłej i chorowitej dziewczyny towarzystwie. Do Tomkowej chaty chodził jak dawniej, ale nie mógł już tam się bawić jak dawniej, bo Tomko — coraz więcej oziębiony do dworu, który się odsuwał ode wsi zupełnie, zostawiając wiejskie stosunki na wolę komisarza i mandataryusza — przyjmował panicza grzecznie, ale tak ceremonialnie, że się chłopak musiał wynosić rad czy nie rad. Synowie Tomka, tęgie parobczaki pracowali w polu, i żyć zresztą z niemi jakoś niewypadało — Kazio, mimo złotego serca, inaczej także już rzeczy pojmował: niedarmo żył z sąsiadami, którzyby go za takie stosunki jak najpotężniej wyśmiali. Marynię tylko gdy zobaczył, o wszystkiem co dzisiaj zapomniał, i tylko sobie przypominał mamkę kochaną, i te lata szczęśliwe, które przeskakał z Tomkowemi dziećmi. A gdy spojrzał w jej oczy, w niego zawsze wlepione, już się od nich odwrócić nie mógł, bo choć w nich niebyło żadnego wyrazu wyższego, ale było uczucie tak prostej a szczerej rzewności, że się musiał rozczulić mimowolnie. I było mu przykro, że się nie może z nią dość często widywać. Więc obmyślił, jakby ją z Zosią poznać i zbliżyć. Udało mu się parę razy — ale ciągłe zbliżanie się było niepodobne przy otoczeniu

Zosi zawsze bardzo arystokratycznem. Zosi się Marynia podobała głównie dla tego, że ją tak czule, tak serdecznie i ciepło po małych rączkach całowała.

— Ty mnie kochasz?... — pytała dziewczynka pańska z pewną dumą i noskiem zadartym trochę.

— Kocham panienkę! — odpowiedziała potulnie Marynia — bo panienka jest siostrą mojego panicza...

Kazia nazywała zawsze swoim paniczem.

— Maryniu!... my się tak rzadko widujemy — mówił raz do niej Kazio.

— Bardzo rzadko! — odszepnęła Marynia z serdecznem westchnieniem.

— A ja ci tyle pięknych rzeczy mam do opowiadania.

— Dobry mój paniczu!... — odpowiedziała, i omal co rąk nie pocałowała swego panicza.

— W chacie trudno!...

— Tata!... ja niewiem!...

— Tak ślicznie na polu!... — zagadł żywo Kazio i spojrzał tak czule, że Marynia zadrżała cała, spojrzała na niego i już się zrozumieli.

Kazio miał lat siedemnaście, Marynia czternaście; a oboje byli tak czyści i niewinni, że stanąćby mogli przed Boga tronem jako bieli aniołowie.

Odtąd widywali się często, widywali codzień. W ich schadzkach zupełnie niewinnych, choć on panicz wielkiego rodu, a ona dziewczyna prosta z chłopskiej chaty, było tyle poezyi, że starczyłoby na najcudniejszą piosnkę serdecznego wieszcza. Była poezya, bo było uczucie, była prawda, i to niepokalanie czystej myśli, która się różowym blaskiem unosi nad czołem potomka starego rodu, jak i nad czołem wiejskiej dziewczyny.

*(C. d. n.)*

## Wrażenia Literackie.

*(Ciąg dalszy).*

Szanowna recenzentka kilkoma jeszcze rysami doskonale maluje ową epokę fałszywego nabożeństwa i suchej bigoteryi, w której wszystko to było okrzyczane za niereligijne, cokolwiek wychodziło po za te formy zewnętrzne, w których mieścić wiarę nakazywano, w której klepać pacierze aktami, było pobożnością—a myślą i duchem wznosić się do Stwórcy, istną bezbożnością. I w tej to epoce okrzyczano Byrona bezbożnym za to, że śmiał całemu pokoleniu hypokrytów i ateuszów wypowiedzieć:

„Nie!... dusza nie umiera!... Tą wiarą natchnął mnie instynkt Boży wyższy od waszych rozbiorów metafizycznych i anatomicznych. Czuję w sobie siłę, która umrzeć nie może. i t. d.“

Wówczas to także Beranżera, piewcę ludu, pełnego wiary prostej i naiwnej, autora tylu rzewnych pieśni, pociągano przed kratki sądowe jako pisarza niemoralnego i bezbożnego.

Znaliśmy tę epokę i my jeżeli już przeszła, w której każda myśl lotniejsza była występkiem dla ziemi, a grzechem dla nieba, bo nasze wrogi zadrościli nam tego nawet, byśmy myślą nawet nie uciekali po za ciasne więzienie, które nas zewsząd otaczało. Srodzy dozorcy więzień, Boga samego chcieli mieć pomocnikiem, aby prócz ciała i duch był skuty. Tej to epoki u nas, która różne przebierając zmiany trwa dotąd podobno, obraz łyskawicą potężnej jenialnego wieszcza myśli oświecony, pojawia się nam w trzeciej części Dziadów. To też — choć pani Sand o tem nie mówi — ustęp ten jej cały służy za najlepszy wstęp do ocenienia poematu Mickiewicza, dla nas przynajmniej, co go rozumiemy i czujemy doskonale — i tem, co wycierpieliśmy; i tem, czego się spodziewamy.

Przechodzi zatem pani Sand do Mickiewicza, i utworowi jego, który z dwoma poprzedniemi stawia w paraleli, daje tytuł: *Konrad*, przyczynę podając w następnych słowach:

„Ponieważ Konrad jest nazwą typu, jaki sobie obrał Mickiewicz, a w szczególności bohatyra Dziadów, nazwę tę nadaję fragmentowi Mickiewicza, z którego chcę zdać sprawę, chociaż ten fragment nosi tylko nazwę: *Trzeciej części Dziadów*. Jest to zatem jeden fragment tylko, który stawiam obok Fausta i Manfreda. Lecz o to mniejsza, że to fragment jeno, jeżeli w nim zdarzenia i charaktery są już postawione tak jasno i dzielnie, że od razu widzimy w autorze poetę równego Goethemu i Byronowi. W dramacie tego rodzaju nie idzie o rozwijanie zdarzeń i faktów, skoro myśl należycie jest rozwiniętą. Wszakże i w Fauście pojawienie się Małgorzaty rozpoczyna niejako nowy dramat, w którym się Faust właściwy nie rozwija, jak też i zakończenie właściwe zostaje w zawieszeniu. Niech więc nam wystarcza fragment Mickiewicza. Wszakże wystarcza, by wykazać braterstwo poety z jego dwoma wielkimi poprzednikami.“

By prawdę swych twierdzeń wykazać, recenzentka opiera się głównie na przytoczeniach, poprzedzając je kilką słowami przedwstępnemi, w których chce wyświecić formę, w jaką poeta myśl swą wlał. Ciekawym bardzo jest w tej mierze cały tok myśli wielkiej powieściarki. Dajemy też go w związłem streszczeniu.

Nowość formy, stworzonej przez Goethego, spoczywa wedle niej głównie na associacyi świata metafizycznego i świata zewnętrznego. To połączenie w Fauście jest zgrabnie przeprowadzone. Faust ma przeto wszelkie właściwości dramatu, uzdolnionego do scenicznego przedstawienia; jakoż łatwo pojąć, że skróciwszy monologi, a ze sceny czarownic zrobiwszy balet, przedstawienie stałoby się bardzo możliwem. Ale to właśnie, co u wielu może się wydać zaletą w Fauscie, wydać się raczej powinno jego błędem. W nim bowiem dramat fantastyczny zanadto przechodzi w rzeczywistość. Faust staje się człowiekiem do drugich ludzi zanadto podobnym, a nawet Mefistofil wygląda jako łotr zgrabny, trochę rzezimieszek, a trochę rajfur, do którego typ łatwo znaleść między ludźmi, nie udając się po niego do piekła.

Byron przeciwnie rzuca swój dramat więcej w świat fantastyczny, niżeli w świat rzeczywisty. Świat ten rzeczywistości ledwie się tylko przemyka, i gdzie się pojawia, jest to właśnie świat czysty, spokojny, idealny prawie w swej prostocie. Godnym jest wzniosłej i cudownej rozpaczy ten rzut oka mimochodem na życie spokojne ludzi prostych. Manfred jest wszędzie dobrym i słodkim w stosunkach z drugimi ludźmi; jest on dumnym i despotycznym tylko z pojawami piekielnemi. Duma jego przez to staje się słuszną i poszanowania godną. Zwycięża zemstę, furye, fatalność, samą śmierć nawet, aby się podnieść, wprawdzie bez nadziei szczęścia, ale siłą nadludzką do uznania sprawiedliwości Bożej. W tem właśnie jest cały węzeł i cała treść dramatu.

Ale właśnie dla tego może by można zarzucić, że Faust jest zanadto w rzeczywistości, a Manfred zanadto w marzeniach. Mickiewicz stoi wyżej w tej mierze. On nie miesza ram obrazu z myślą obrazu, jak to czyni Goethe w Fauście; ani też odłącza ram od myśli, jak Byron w Manfredzie. U Mickiewicza świat fantastyczny nie jest na stronie, ani wyżej, ani niżej; jest on w głębi wszystkiego, wszystko porusza, jest duszą wszelkiej

rzeczywistości, objawia się wszystkiemi faktami; każda osoba czy całe grono działające ma go w sobie, i objawia swoim sposobem. Życie rzeczywiste jest samo przez się obrazem energicznym, poruszającym, okropnym; a myśl jest niejako w samym środku. Całe piekło jest na świat wypuszczone, ale i niebieskie zastępy są na podorędziu; szatani choć tryumfują w materyalnym porządku rzeczy, zwyciężeni są na polu umysłowem. Władza doczesna ma swe ukazy, tortury i katów, wygnanie, i kajdany. Ale aniołowie mają swe dusze bohatyrskie, święty zapał, sny wieszcze, i uniesienia boskie ofiar. Nagrody te niebieskie zdobywają się męczeństwem, i Mickiewicz maluje te sceny męczeństwa swym pędzlem ciemnym i przerażającym. Owóż te jego malowania są takie, że im by nie mógł podołać ni Byron, ni Goethe, ni sam Dante. I może sam Mickiewicz miał tylko jednę w swem życiu taką chwilę odznaczoną wyższem nadludzkiem natchnieniem, które w nim wywołały prześladowania, męczarnie i wygnanie. W jego dawniejszych, aczkolwiek cudownych utworach, nie odzywa się jeszcze ta struna żalu i przekleństw, która zagrała poruszona rozpaczą nad upadkiem ojczyzny. Od czasu łez i przekleństw profetów Syonu, żaden jeszcze głos nie podnosił się tak dzielnie, by wyśpiewać treść tak olbrzymią, jaka stanowi upadek narodu. Jeżeli liryzm i wspaniałość świętych pieśni nigdy prześcigniętym być nie mógł, jest za to za naszych czasów jedna strona ducha ludzkiego, która nie była wyświeconą za czasów profetów ludu wybranego, a która rzuca blask niezmierny na dzisiejszą poezyę. Jest to poczucie filozoficzne, którem olbrzymieje w nieskończoność prawie ciasny widnokrąg ludu Bożego. Nie ma już ni Żydów, ni ludzi uprzywilejowanych: wszyscy mieszkańcy kuli ziemskiej są ludem Boga, a ziemia jest onem miastem świętem, które przez usta poety wzywa sprawiedliwości i łaskawości niebios.

Taka jest — wedle pani Sand — olbrzymia myśl tego dramatu polskiego. W nim widzieć można tę ogromną doniosłość, jakiej nabrało poczucie ideału od Fausta aż do Konrada, przechodząc przez Manfreda. Jakoż można by nazwać Fausta *upadkiem*, Manfreda *pokutą*, Konrada *rehabilitacyą*. Ale jest to krwawa rehabilitacya; jest to czyściec po którym anioł nadziei przechadza się środkiem mąk wielu, wskazując niebo i podając palmę ofierną. Jest to olbrzymi stos ofierny, na którym spoczywa połowa ludzkości prześladowana i mordowana przez drugą połowę; wolność staje się ofiarą despotyzmu, a cywilizacya świata nowego upada pod barbarzyństwem świata starego. W pośród tego olbrzymiego kazania szatani śmieją się, modlą się i jęczą aniołowie; a Bóg milczy!... Wówczas to poeta wydaje krzyk rozpaczy i wściekłości; zbiera wszystkie siły swego serca i swego jeniuszu, aby wydrzeć od Boga ułaskawienie ludzkości, która już ma ginąć. Nic wspanialszego i wznioślejszego jak ta rozpaczliwa apelacya człowieka do nieba. Jest to głos ludzkości, całej ludzkości wzywającej wdania się Bożego i protestującej naprzeciw panowaniu szatana.

Jest to jak widzimy cudny i poetyczny obraz Dziadów Mickiewiczowskich, godny zaprawdę jenialnej autorki tylu arcydzieł. Niemożemy jeno podziwiać wzniosłość wyrażeń i rozciągłość tego jej jenialnego polotu, którym obejmuje od razu całą myśl Mickiewicza w jej olbrzymim obszarze. Niemożemy jak tylko jej podziękować za to wymowne, a pełne dobrej chęci sprawozdanie o jednem z najdzielniejszych polskiej muzy utworów. Ale czytając te olbrzymie słowa — rysy, jakiemi szkicuje przed nami całość obrazu rysującego się w jej szlachetnym i wielkim umyśle — nam Polakom mimowolnie przychodzi na myśl: Ona cudnie, wspaniale powiedziała, ale przecie nie powiedziała wszystkiego. Łyskawicą jeniusza, cudnym blaskiem oświeciła wierzch obrazu, ale nie trafiła do głębi przecie. Bo jej zakrytą została tajemnica poematu tego, która zarazem jest tajemnicą całego narodu! Ona sądzi poetę, ale nie zna źródła zkąd płyną jego nóty czarowne. Ona nie zna narodu polskiego, i dla tego w jej wypowiedzeniu całem jest wielka prawda artystyczna; ale niema tej prawdy bezwzględnej, którę Bóg sam umieszcza w piersiach całego narodu.

Że tak jest jak mówimy, najlepiej dowodzi w dalszym ciągu swej recenzyi, gdzie z pewnem niedowiarstwem filozoficznem, a raczej z filozoficzną nieufnością, opowiada o myśli religijnej poematu wieszcza i narodu!.... Wszakże Francuzce, ziomkini Woltera i późniejszych zrozpaczonych filozofów, wydają się niektóre zwroty Mickiewicza ku naiwnej wierze narodowej — a w której się mieści tego narodu społeczne lub obyczajowe wykształcenie, bytu jego treść i przyszłości zagadka — *bogobojnemi kłamstwami w rodzaju Sybilli.*

Jest nam niepodobną dla wielu rozmaitych przyczyn dalej i szerzej rozwodzić się nad tą najdrażliwszą u nas stroną naszych pojęć narodowych, które, by wytłumaczyć pani Sand, trzeba by może tomów całych, i trzebaby szczerości w myśli i wyrażeniach, które przekraczają o wiele granice, w jakich się mieścić muszą pisma nasze. Mniemamy wszakże, że my mianowicie tak jesteśmy domyślni w tej mierze, że do nikogo jak do naszych czytelników nie da się tak łatwo zaaplikować łacińskie przysłowie: *Sapienti sat*, doskonale po polsku przetłómaczone przez: *Mądrej głowie dość na słowie*. Mniemamy wreszcie, żeśmy zadanie nasze spełnili, gdyśmy czytelniczkom naszym dali wyobrażenie o stanowisku z jakiego się sławna autorka francuska zapatruje na rozbierane przez się trzy, trzech narodów, wielkie utwory poetyczne.

(Dok. nast.)

## Rzecz Artystyczna.

### TEATR.

W zeszłym tygodniu panna *Marya Łapińska* występowała po raz pierwszy w *Adriennie Lecouvreur.* Co do sztuki samej, jest to dramat znany, który we wszyststkich repertoarach zajmuje miejsce pierwszorzędne. Co do prawdziwej wartości artystycznej, wiele bardzo dałoby się powiedzieć na niezupełną korzyść tego prawdziwie francuskiego utworu. Głównie zaś dla nas dramat ten, w którym dwie kobiet — aktorka i wielka pani rywalizują o miłostki z hrabią de Saxe, synem naturalnym Augusta IIgo, treścią swą jest niesmaczny, bo niestosowny do naszego poważniejszego charakteru narodowego, i do pojęć naszych o moralności. Jest to dramat wielce ponętny dla gryzetek i loretek francuskich; a dla nas tę jeszcze ma przykrą stronę, że występuje w nim wnuczka Sobieskiego, jako kobieta rozpustna, która w końcu truje swą rywalkę. Nie jest to przesadny puryzm, ale — zda się nam — dobre pojęcie wymagań i naszego narodu i naszej epoki, jeżeli powiemy, że polski repertuar mógłby się wcale obejść bez tego dramatu, który żadnej głębszej nie przeprowadzając myśli, opiera się jeno na scenicznym sprycie francuskim. Panna M. Łapińska występowała tedy po raz pierwszy na scenie krakowskiej, i pierwsze w tej sztuce stawiała kroki na deskach teatralnych. Recenzya w takim razie powinna być bardzo oględna tak w na-

ganie jak i w pochwale, bo — po prawdzie powiedziawszy — sumienny recenzent nic pewnego w takim razie powiedzieć nie może, a wszystkie horoskopy na przyszłość dziewięć razy na dziesięć pokażą się mylnemi. Najgorszą nawet przysługę debiutującym czyni recenzent, jeżeli się jakiej świetnej dopatruje przyszłości, choć jej oczywiście widzieć nie może, poruszony czy jakąś grzeczną kurtuazyą, czy innemi względami, lub, co najczęściej się trafia, uproszony lub przekupiony przypadającą mu do smaku powierzchownością. Jeżeli jest talent jaki, to go raczej słuszna nagana wykrzesze; pochlebne frazesy dla początkujących, to istna trucizna miodem przyprawna, bo wbija ich w zarozumiałość, i staje się powodem tych smutnych poronień talentowych, jakie się tak często zdarzają w zawodzie dramatycznym. I co do panny Łapińskiej chcieliśmy zostać wiernymi tej zasadzie. Lecz gdy już recenzya jedna obszerniej wspomniała o tym występie, rokując różne rzeczy na przyszłość, powiemy i my słów kilka — słów szczerych zupełnie. Mamy do tego drugi jeszcze powód. Panna Łapińska wybrała sobie na występ pierwszy rolę trudną Rapopisową, uświetnioną takiemi talentami jak pp. Rachael i Ristori, a u nas pani Aszpergerowej. Taki wybór — powiemy prawdę — zakrawa albo na lekceważenie sztuki jako sztuki, albo na olbrzymią zarozumiałość. Aby odegrać rolę sławnej swego czasu aktorki, trzeba albo być samej wielką artystką, albo przynajmniej wielką rutynistką. Poczynający, czyniąc taki wybór, sam sobie najwięcej szkodzi, bo — co najmniej — dowodzi zupełnej nieznajomości wymagań każdego zawodu, z pomiędzy których najpierwszem jest, by nikt nie zaczynał budować od dachu. Co do samego oddania roli, to tylko widzieliśmy, że panna Łapińska doskonale się swej roli wyuczyła, i jak dobrze umianą lekcyę wygłosiła. I inaczej być nie może. Rzadkie bardzo są takie wielkie talenta, którychby błyski zajaśniały w pierwszym już debiucie. Takich błysków w grze panny Łapińskiej niedostrzegliśmy wcale. Jest w roli Adrienny Lecouvreur jedna chwila, w której najłatwiej mógłby zabłysnąć samoistny talent, a przynajmniej to instynktowe natchnienie, które się w poczynającym nawet ozwie, jeżeli są w nim zarody znakomitszej przyszłości. Jest to chwila w akcie czwartym, kiedy aktorka wygłaszając scenę z Fedry Rasyna mści się na rywalce, i piętnuje wielką panią znamieniem hańby. Panna Łapińska, chcąc deklamacyi swojej dać znaczenie, postępuje parę kroków naprzód, i palcem rywalkę wskazuje. To mogłaby uczynić każda kobieta zemstą uniesiona, ale nie Adrienna, wielka artystka dramatyczna, która ma w swej mocy potęgę słowa, i grę oka i twarzy. Można pewien przycisk dodać ruchem ciała silniejszym, mimowolnem zadrganiem palców żądnych wskazać nieprzyjaciołkę, jak to czynią znakomite artystki w tej roli, ale takie wybitne wytykanie ręką jest zanadto pospolite. Zresztą o talencie i przyszłości panny Łapińskiej nic a nic powiedzieć nie możemy, chyba że trzeba jej studyów sumiennych i powolnych, a jak się nauczy, to umieć będzie. Że ma wzrost i postawę, własności bardzo ważne dla aktorki, przyznajemy chętnie, również jak i to, że się może podobać, komu się podoba powierzchownością swoją; miałaby może i głos dosyć dobry, choć był tym razem przeszkodzony (wrażeniem debiutantki), ale głos ten prawdziwie metalicznego niema dźwięku. Reasumując to wszystko, nic na przyszłość rokować nie chcemy, bo recenzyi komunałami zbywać nie myślimy; radzimy debiutantce, by się naprzód ćwiczyła i próbowała w lżejszych rolach, a będziem bardzo temu radzi, jeżli późniejsze występy wybitniej odsłonią jej zdolności. Co do gry innych artystów tego wieczora, musimy przyznać, że całe przedstawienie było słabe; raziło mianowicie nieumienie zupełne ról niektórych osób; w czem się głównie odznaczyli p. *Janowski* i pani *Bendowa*, której w ogóle tym razem wiele i bardzo wiele mielibyśmy do wyrzucenia, a najpierwej, że jak panna Łapińska niebyła tą wielką artystką, którę miała przedstawić, tak jeszcze mniej pani Bendowa w roli księżnej była wielką damą. Była sobie piękną kobietą i na tem koniec. Podniesiemy głównie pewne ruchy głową w tył, mające niby oznaczać arystokratyczny ton, które tak często widywaliśmy już powtarzane, że można je nazwać stereotypowemi. P. *Królikowski* w roli hr. Saxe grał jak zawsze z pojęciem roli, i z przejęciem się nią. Mimo niesprawiedliwych nieraz recenzyi o nim, a jeszcze niesprawiedliwszych przemilczeń, to przyznać trzeba temu artyście, że każdą rolę cokolwiek wdzięczną podniesie niezawodnie, a niezepsuje pewnie roli, choćby najmniej dla niego stósownej. Odznaczy się niezaprzeczenie w każdem przedstawieniu sumiennością i pracą. P. *Wolski* rolę małżonka księżny oddał żywo i naturalnie. Ma on w ogóle, prócz istotnych zdolności, i szczęśliwą dosyć ruchliwość mimiczną. Zrobimy mu tylko uwagę, że ruchliwość tę w niektórych razach jak np. tym razem należałoby cieniować większym spokojem, bać się bowiem można, by ta ruchliwość nie przeszła z czasem w manierę.

Odegrano jeszcze *Halszkę z Ostroga Szujskiego*. Dramat ten zresztą dobrze tu znany, i kilkakroć już krytycznie rozbierany, a mianowicie autor jego, który w krótkim czasie z tak zadziwiającą płodnością tyle natworzył poezyj i dramatów, zasługuje na obszerniejsze sprawozdanie, niż byśmy dać mogli w piśmie naszem pod rubryką prostych teatralnych sprawozdań. Jakoż zamyślamy wkrótce przebiedz wszystkie utwory jego w sumiennem studyum, ze szczególnem uwzględnieniem talentu jaki ma, i tej łatwości tworzenia, która w ogóle bierze dziś górę tak dalece, że warto zaprawdę zastanowić się nad nią z wyższego stanowiska samej sztuki. Jak na dziś, zostaniemy przy samem przedstawieniu, które tym razem było tak gładkie i ukończone nawet w swej całości, jakiego nie mieliśmy jeszcze tego roku od powrotu towarzystwa naszego z letniej wycieczki. Piękny talent panny *Biedrońskiej* zabłysnął tym razem w całej pełni w roli *Halszki*, którę odegrała z takiem czuciem, zapałem i prawdą, jednem słowem z takiem sercem, że cała publiczność sympatycznie poruszona, prócz kilkakrotnych oklasków i przywoływań, przy końcu sztuki trzykrotnem wywołaniem nagrodziła artystkę. P. *Królikowski* rolę swą niewdzięczną, sentymentalnego i płaczliwego *Dymitra*, oddał jak zawsze z sumienną prawdą. Wspomnieć jeszcze trzeba p. *Wolskiego* w roli księcia *Wasyla Ostrogskiego*, grał wybornie jak prawdziwy artysta pojmujący sztukę, w jej wyższem znaczeniu. Nie przestaniemy powtarzać, że ma piękną bardzo przyszłość w swoim własnym ręku. Pna *Hofman* rolę *Beaty* dumnej, upartej i zawziętej (w całym dramacie jeden charakter najmocniej i najprawdziwiej zakreślony) oddała w pierwszych aktach z całą prawdą; już przy przysiędze niewiemy dlaczego osłabła, i już do końca brakowało jej tej siły nieugiętej i upartej, która w tej roli widzów powinna poruszać, aż do przerażenia. Dodamy wreszcie, że p. *Benda* jako *Zygmunt August* wywiązał się z swej roli wcale dobrze, tak naturalnem oddaniem charakteru, jaki miał przedstawić, jakoteż nawet całą charakterystyczną postawą. Chętnie przyznajemy, że to jedna z jego ról lepszych.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**